

## Zmierzch Eldery

Wszystko wydarzyło się dziś dzień. Mimo iż ta historia ma swój początek przed laty, to wszystko wydarzyło się dzisiaj.

Od niepamiętnych czasów Eldera była najeżdżana przez upiornych Tornaków, mieszkańców świata z innego wymiaru – Vulcani. Przy każdej pełni księżyca pomiędzy dwoma światami otwierał się portal. Każdy mógł go przekroczyć, ale nie każdemu było dane w obie strony. Zwykle były to pojedyncze grupy grabieżców napadające na okoliczne wioski. Ci, którzy nie wracali do Vulcani, byli skazani na zagładę.

Niedawno temu wypadki Tornaków stały się coraz bardziej śmiałe; wkrótce na południu Eldery zaczęły upadać mniejsze miasteczka. W obawie, że wkrótce mogą zorganizować inwazję na wielką skalę, Wielka Rada Eldery wraz z królem postanowili raz na zawsze pozbyć się zagrożenia ze strony Tornaków. Król wezwał wszystkich pięciu lordów i zebrał potężną armię. Na jej czele stanął Rag'Tash – potężny wojownik z miasta Lyria. Kiedy w trakcie pełni portal między światami otworzył się, królewska armia przeszła na drugą stronę.

Mijały tygodnie, a z Vulcani nikt nie powracał. Jednak król uznał to za dobry znak, gdyż zakończyły się też napady Tornaków, a portal już się nie otwierał. Z czasem wielu zapomniało o armii, która wyruszyła na podbój obcego świata. Wkrótce wszyscy zaczęli tracić nadzieję, że ktokolwiek powróci. Wtedy jednak, dokładnie pół roku po rozpoczęciu wyprawy, portal otworzył się ponownie. Ze środka wyszedł Rag'Tash wraz z niedobitkami żołnierzy. Z kilkutysięcznej bowiem armii zostało tylko kilkuset.

Tutaj właśnie zaczyna się moja rola. Zapytacie pewnie, kim jestem? Jestem Bradley, sierota i uczeń królewskiej elity czarodziejów. Normalnie byłoby to moje najśmielsze życzenie, by ktoś taki jak ja praktykował magię z o niebo od siebie lepszymi, ale ostatnimi czasy młodzi czarodzieje są coraz rzadsi. Tak więc już od prawie roku szkolę się w najróżniejszych rodzajach magii.

Moim najwierniejszym towarzyszem, którego traktuję jak starszego brata, i zarazem jedynym przyjacielem, jest Tyff. Jest on dwa lata ode mnie starszy i należy do Królewskiej Gwardii Łuczników. Chłopak nie jest sierotą, mimo iż stracił ojca. Był on jednym z żołnierzy, którzy przeszli przez portali i już nie wrócili.

Wydarzenia z dzisiejszego dnia, które wam opowiem, na zawsze zmieniły Eldere... oraz mnie.

# I

Słońce wstało bardzo wcześnie.

Z reguły o tej porze rozpoczynali swoją pracę przeciętni mieszkańcy Dorri – rybacy, handlarze, sklepikarze i większość rzemieślników oraz robotników. Na placu przed pałacem oraz pobliskich targach panowało ożywienie. Wszyscy przygotowywali miasto do tego ważnego wydarzenia – przybycia Rag'Tasha.

Dwa dni temu do króla dotarła wiadomość z pobliskich posterunków granicznych, że portal ponownie się otworzył, a armia kieruje się do stolicy. Jako że wszyscy zakładali, iż wyprawa odniosła sukces, miasto musiało być odpowiednio przygotowane na cześć nowych bohaterów. W oknach domu wisały wspaniałe wieńce kolorowych kwiatów, ulice były czyste i wysprzątane, psy i koty już nie biegały bezpańsko, a żebracy otrzymali w karczmach na koszt królestwa schronienie wraz z wyżywieniem. Radosny nastrój udzielał się wszystkim. W końcu, jak tu się nie cieszyć, kiedy nie trzeba się już martwić czy nie zostanie się zaatakowanym przez upiory z innego świata?

Gwarne odgłosy z miasta wcześniej obudziły Bradley'a. Młodzieniec wstał, umył twarz i ubrał się we wspaniałą strój przygotowany dla młodych czarodziei. W jego skład wchodziły spodnie, lniana koszula wraz z kaftanem wyszywanym w magiczne symbole i runy oraz granatowa opończa.

Na zewnątrz panował straszny zamęt. Wszędzie kręciła się służba; kilka praczek pędziło z całym koszami pełnymi ubrań, giernkowie zmierzali z wypolerowanymi zbrojami do swoich panów, a gdzieś przewinął się jakiś kucharz w ubrudzonym białym fartuchu.

Bradley szybko i sprawnie przemierzał korytarze zachodniej części pałacu przeznaczonej dla czarodziei i magów. Cały pałac był podzielony na trzy części: wschodnią należącą do lordów oraz rycerzy, środkową, gdzie leżała sala tronowa i komnaty króla oraz zachodnią. We wschodniej wśród rycerzy często przebywali honorowi goście zatrzymujący się po drodze oraz najróżniejsi baronowie i posłowie pięciu lordów. W zachodniej znajdowała się potężna komnata treningowa, sale medytacyjne oraz potężna biblioteka pełna starych ksiąg i zwojów. Centrum zachodniej części była potężna sala obrad, w której odbywały się wszystkie narady i spotkania.

Chłopak wyszedł na dziedziniec i oniemiał z wrażenia. Wszędzie było czysto i schludnie jak nigdy dotąd. Stojąca na środku dziedzińca wspaniała rzeźba przedstawiająca trzech czarodziei – dwóch mężczyzn i kobietę – których uniesione ręce stykają się, wypluwając fontanny wody aż błyszczała, a na szyjach mieli wspaniałe wieńce z kwiatów. Ciemny dotychczas marmur teraz zdawał się lśnić w słońcu, gromadząc jego promienie.

Wszędzie dookoła było mnóstwo ludzi. Bradley znał część z nich: byli tam ogrodnik Mat ze swoimi pomocnikami, kucharka Stella niosąca wielki poszarpany worek, paź Desmond, dwóch grajków z dworu króla oraz naczelnik garnizonu miejskiego. Przy bramie dziedzińca zobaczył jeszcze jedną znajomą twarz, której szukał.

- Hej, Josh! – zawołał w stronę chłopaka.

Josh zobaczył go i mu pokiwał.

Bradley zszedł po krętych schodach i ruszył w kierunku kolegi.

Josh był wysokim, przystojnym chłopcem z burzą jasnych blond loków i promiennym uśmiechem na twarzy, który bardzo rzadko go opuszczał. Na sobie miał identyczny strój, w tych samych barwach. Jedyne co go różniło, to srebrna naszywka przedstawiająca gwiazdę otoczoną przez trzy mniejsze. Był to rodzaj oznaczenia wojskowego; pokazywał, że Josh jest jednym z uczniów elity czarodziei zajmującej się wszystkim z otaczającego nas świata – Mentorów Wiedzy.

- Jesteś gotowy? – zapytał.

Bradley westchnął.

- Jeszcze nigdy nie byłem bardziej gotowy – odparł. – To będzie wielka chwila, nie tylko dla nas, ale i dla całego królestwa. Postaram się tego nie zepsuć.

- Byłoby dobrze, inaczej Rada oberwałaby nam uszy – zażartował. – Hej, obejrzyj się.

Chłopiec odwrócił się i dostrzegł, jak przez bramę szybkim krokiem wkracza Edith – dziewczyna w ich wieku również ucząca się u Mentorów. Miała na sobie wspaniałą przewiewną suknię, którą założyły wszystkie dziewczyny oraz wianek z białych kwiatów na kruczoczarnych włosach. Kiedy przechodziła obok nich, zatrzymała się na chwilę i zmierzyła ich.

- Ładnie wyglądasz – skomentowała, odgarniając z czoła kosmyk włosów.

Bradley zarumienił się i odparł:

- Ty również wyglądasz ślicznie.

- Uważaj, bo ktoś tu jeszcze się zakocha – Josh strzelił mu kuksańca.

Dziewczyna zachichotała.

- Do zobaczenia na rozpoczęciu – pożegnała się i odeszła w stronę pałacu.

- Dlaczego to powiedziałeś?! – wypalił od razu Bradley, kiedy dziewczyna oddaliła się na odpowiednią odległość.

- No co, pożartować sobie nie można? – chłopak zdawał się być bardzo z siebie zadowolony. – No wiesz chyba, że to nie żart.

- Nie... znaczy tak... znaczy... arghhh!

Bradley odszedł szybkim krokiem w stronę miasta. Był sfrustrowany i upokorzony. To prawda, że Edith mu się podobała i nie było w tym nic złego. On sam jednak starał się zbliżyć do niej powoli, tak by obydwójce mogli się poznać. Nie chciał na nią naciskać, poza tym ona była taka piękna i być może on jej się nie podobał... Tak prawie za każdym razem tłumaczył to sobie, kiedy nie wychodziło mu z dziewczynami. Nieraz starał się do niej zagadać, ale raczej robił z siebie błazna. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że dziewczynę to śmieszyło. Chłopak nigdy nie wiedział, jak wtedy zareagować i tchórzył. W końcu jednak, kiedy ona o tym zapominała, on bał się znowu podejść.

Kiedy wyszedł poza teren pałacu, jego zdziwienie wciąż nie miało końca. Mury otaczające główną ulicę prowadzącą do pałacu były czyste i przystrojone najróżniejszymi, kolorowymi kwiatami. Gdyby ktoś pierwszy raz tędy przechodził, mógłby odnieść wrażenie, że idzie przez niekończący się ogród. Bradley jeszcze nigdy nie widział na tej ulicy tylu ludzi naraz. Była co prawda najczęściej uczęszczaną ulicą, przy której mieściły się targi, stragany, różne kramy, karczmy i gospody, do których codziennie zlatywało mnóstwo mieszkańców. Teraz jednak to co innego.

Każdy starał się na swój sposób wyglądać ładnie. Kobiety ubrane były w długie suknie w stonowanych barwach, mężczyźni natomiast mieli na sobie białe koszule niekiedy przykryte kaftanem. To wszystko sprawiało, że miasto zdawało się być żywe.

Bradley szybkim krokiem wkroczył na mur; wszyscy już się tam zbierali. Widział już całe mnóstwo granatowych opończ dokładnie takich samych jak jego. Jeszcze więcej było natomiast mieniących się w świetle wypolerowanych zbroi oraz kolczug. Dostrzegł również wśród zebranych wielu łuczników z Królewskiej Gwardii. Szukał jednak tego jednego, konkretnego. I znalazł.

- Tyff – Bradley uśmiechnął się – w końcu cię znalazłem.

- Ciebie również miło widzieć, Bradley, stary druhu.

Tyff miał na sobie purpurową koszulę przykrytą posrebrzaną kolczugą, równie purpurową opończę i lekki, specjalny hełm dla łuczników, który nie przeszkadzał im w swobodnym poruszaniu głową i celowaniu.

- Więc Tyff, wszystko już gotowe? – spytał.

- Zdążyłeś w ostatniej chwili – powiedział. – Przed chwilą dostaliśmy sygnał, że armia już się zbliża.

- Uf – westchnął chłopak. – Nie darowałbym sobie spóźnienia na taką uroczystość. Wiesz może...

W tym momencie jego głos zagłuszyła wspaniała pieśń rogów. To sygnał.

Rag'Tash jest już w mieście.

## II

Wszyscy zaczęli zajmować swoje stanowiska. Zgodnie z ustalonymi wcześniej planami, ustawili się w trzech szeregach: pierwszy stanowili czarodzieje, drugi łucznicy, natomiast trzeci żołnierze.

Bradley szybko odszukał swojego partnera po drugiej stronie muru; Josh już na niego czekał. Chłopak stwierdził, że nie czas chować do niego teraz urazy. Wszystko musi wyjść idealnie i nie może popsuć tego zwyczajna sprzeczka. Postara się o tym zapomnieć, ale Josh z pewnością mu o tym prędko przypomni.

Wspaniała pieśń rogów właśnie się zakończyła. Teraz swoje brzmienie wydały trąbki zgromadzone na murze. Zaś pod murem tłumy ludzi zagłuszały grę swoimi krzykami i wiwatami. Małe dziewczynki rozsypywały dookoła kwiatki; część stała na murze i sypała je z góry. Wiele kobiet, których mężowie wyruszyli na wojnę, stało tam z mokrymi od łez chusteczkami i machały nimi, szukając swoich ukochanych.

Kiedy orszak wraz z armią wkroczył na główną ulicę, rozpoczęło się przedstawienie. Czarodzieje, którzy byli na murze, tworzyli strumienie czystej magii. Każdy wypuszczał magię od swojej strony, a one pośrodku się łączyły, tworząc coś na kształt jednokolorowej tęczy. Każda para miała przyporządkowany sobie kolor; zaczynały się od krwistoczerwonych po szare i czarne.

Bradley starał się zobaczyć tyle, ile mógł. Na początku orszaku jechał jeden jeździec – z pewnością Rag'Tash – a za nim kawaleria i piesi żołnierze. Chłopak zawiódł się tym, co zobaczył. Nie ujrzał bowiem wspaniałego rycerza na dumnym rumaku w błyszczącej zbroi i z najwspanialszym mieczem, jaki kiedykolwiek istniał. Nie, to zdecydowanie nie to. Rag'Tash miał wściekle czarnego konia, a z samego siebie nie pokazał za wiele. Miał na sobie siwą opończę, która przykrywała go całkowicie, łącznie z

twarzą. Co było zadziwiające, to wielki garb skryty pod płaszczem. Wcześniej go nie było, teraz jednak zdawał się rozrywać materiał.

Kiedy orszak powoli zbliżył się w ich stronę, Bradley wymienił spojrzenie z Joshem. Skinął głową i uspokoił oddech. Jeśli kiedykolwiek miał to zrobić, to właśnie była ta chwila. Niewielu w jego wieku umie ucieleśniać magię, jednak jemu i reszcie tutaj zebranych udało się to i teraz nie mógł zawieść. Wysunął lewą nogę do przodu, prawą rękę podciągnął pod pachę, zamknął oczy. Nagle czas się dla niego zatrzymał. Bradley pomyślał o całej mocy, którą posiadał, o tej którą odkrył i o tej jeszcze drzemiącej wewnątrz. Przez chwilę zdawało mu się nawet, że może jej dotknąć. Potem wyobraził sobie, że magia przybiera kształt, jakikolwiek, i otworzył oczy. Szybkim ruchem pchnął prawą rękę do przodu i wypuścił całą skumulowaną energię. Gdy ta się wyzwoliła, na moment zrobiło mu się niedobrze, powstrzymał jednak torsje. Z dłoni wystrzelił promień czystej energii, magii która przybrała kształt. Po drugiej stronie to samo uczynił Josh; dwa srebrne promienie popłynęły ku sobie i zetknęły się. Gdy to się stało, poleciały iskry i przez moment magię zdawały się ze sobą rywalizować, po czym płynnie połączyły się w jeden strumień.

Tak, pomyślał Bradley, udało nam się. Mi się udało!

Spojrzał w dół. Orszak właśnie przechodził pod ich strumieniem. W tym momencie Rag'Tash powoli odwrócił głowę i spojrzał wprost na niego. Na zakrytej kapturem twarzy zabłyśły dwa punkciki – oczy. Bradley oniemiał; zdawało mu się, że jedno z oczu płonie żywym ogniem, zupełnie jakby ktoś je podpalił. Jednak poza ogniem palącym oko, był tam jeszcze inny ogień – ogień nienawiści, gniewu i żądy krwi. Chłopak patrzył w to potworne oko jak zahipnotyzowany i nie mógł oderwać wzroku. Wydawało mu się, że ten sam ogień zaczął trawić go od wewnątrz. Nagle poczuł się taki słaby.

*Co ty wyprawiasz?*

*Głos zabrzmiał w głowie Bradleya. Ale kto...?*

*Uspokój się. Oczyść umysł.*

*Tym razem rozpoznał głos. Postarał się myśleć na głos.*

*Josh? Co się stało?*

*Jeszcze chwila i przerwałbyś nasz strumień. Skup się na magii i zostaw inne rzeczy.*

*Ale tam...*

Bradley spojrzał w stronę orszaku. Nikt już na niego nie patrzył, a Rag'Tash cały czas posuwał się naprzód.

*No dobrze. Możesz mi tylko wytłumaczyć, skąd się wzięłaś w mojej głowie?*

*To nie takie skomplikowane. Kiedy nasze strumienie mocy połączyły się razem, złączyły się również nasze umysły, mimo iż ciałami jesteśmy osobno. Jesteśmy teraz jak jedna dusza w dwóch ciałach.*

Jedna dusza, pomyślał chłopak. A co jeśli... przez chwilę do głowy wpadł mu pewien pomysł, ale zaraz go przegonił. Nie, to nie byłoby możliwe. Chociaż... czemu by nie spróbować. W końcu mieli być jak jeden umysł. Jakaś jego część nie chciała tego robić, jednak ciekawość przewyciężyła.

Bradley skupił się, po czym popchnął swoją świadomość przez strumień energii. Czuł przez chwilę, jakby był zawieszony w próżni, lecz po chwili dotarł do ciała Josha. Kiedy wszedł do jego głowy, wszystko stanęło przed nim otworem: wszystkie wspomnienia, myśli i uczucia obnażyły się przed chłopakiem. Josh w jednej chwili stał się niewolnikiem własnego ciała.

*NIE! Co ty wyprawiasz?!*

Rozpaczliwy krzyk Josha przeszył umysł Bradleya niczym strzała.

Wynoś się!

W jednej chwili chłopak znalazł się z powrotem w swoim ciele. Czuł się taki słaby i bezbronny, nie potrafił nic uczynić. Poczuł, jak magia z niego ulatuje, ale nie wiedział jak zatkać dziurę.

*No dalej! Skup się albo wszystko zepsujesz. Strumień się rozłącza! Pchnij jeszcze raz!*

Pchnij jeszcze raz? Oczywiście! Bradley zebrał resztkę mocy ze swojego ciała i pchnął ręką, wyzbywając się nieczystych resztek. Magiczny promień na nowo zabłysnął i wystrzeliły iskry.

Po tym incydencie Bradley całkowicie skupił się na swoim zadaniu. Nie rozglądał się dookoła, nie rozpraszał. Była tylko magia. Magia i on.

Kiedy nastało południe, orszak skończył przemarsz i wkroczył do pałacu, gdzie czekał na niego król. Chłopak spocony i wyczerpany od wysiłku zarówno fizycznego, jak i psychicznego zszedł z muru. Tam czekał już na niego Josh.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek zaczniesz grzebać mi w głowie, przysięgam, że nie pożyjesz zbyt długo! – zagroził. W jego tonie nie było nawet cienia żartu, mówił całkowicie poważnie, a Bradley o tym wiedział. – Czy wiesz, co mogłeś zrobić? Wiesz, czym może się skończyć przebywanie w czyimś umyśle wbrew jego woli? Mogłeś zabić zarówno mnie, jak i siebie!

- Ja przepraszam! – chłopak nie wiedział, jak miał się tłumaczyć. – Pierwszy raz robiłem coś takiego, ja...

- Skończony idiota – burknął Josh i oddalił się.

Bradley poczuł się w tym momencie jak małe dziecko, które zrobiło coś bardzo złego. Postanowił, że już nigdy więcej nie będzie zaspokajał potrzeb swojej ciekawości. Bo jeśli rzeczywiście by się coś stało? Gdyby uśmiercił własnego kolegę... nie, nie wybaczyłby sobie tego. Żeby nie myśleć o tym, co zaszło, zaczął przechadzać się ulicą. Tłumy ludzi powoli zaczęły rozchodzić się do domów. Chciał wstąpić do pobliskiej karczmy i wrzucić sobie coś na ząb, ale była zamknięta. Zrezygnowany zawrócił, gdy zobaczył jak zbliża się do niego Tyff.

- Co tam się stało? – jego twarz przejawiała ciekawość. – Widziałem Josha i chyba nie był w najlepszym humorze.

- Zrobiłem coś nieopisanego – chłopak nie chciał już o tym wspominać.

- Czyli...?

- Kiedy w czasie pochodu razem z Joshem połączyliśmy nasze energie, nasze umysły również się połączyły. No... no i ja wtargnąłem do jego głowy i prawie wszystko zepsułem, nie mówiąc już o tym, że mogłem go zabić.

- Nie brzmi to najlepiej. Miałyś wielkie problemy.

Bradley nie odpowiedział. Miał ochotę zapaść się pod ziemię i zapomnieć o całym świecie.

- No cóż, było, minęło – uśmiech rozjaśnił twarz przyjaciela. – Nie możesz sobie teraz ciągle tego wypominać. Co ty na to, żebyśmy poszli zapomnieć choć na chwilę o problemach?

- Karczma była zamknięta.

Tyff zaśmiał się łobuzersko.

- A czy w tym mieście jest tylko jedna karczma? Założę się, że nigdy nie byłeś w „Magicznym kociołku”.

Obydwoje się uśmiechnęli, po czym ruszyli w głąb miasta. Bradley szedł za Tyffem i rozglądał się dookoła. Stolica zdawała się mienić kolorami, gdziekolwiek nie spojrzeli, dostrzegali kolorowe kwiaty lub kolorowych ludzi. Nie często się to zdarzało.

Gdy wyszli z obrębów muru, skręcili w boczną alejkę. Tutaj już było trochę bardziej swojsko. Gdzieś tam biegały małe kundelki, przed jednym z okien wisiał długi sznur z praniem, a w starej beczulce siedział wędrowny minstrel zabawiający tłum grą na lutni.

Skręcili jeszcze raz i ich oczom ukazał się „Magiczny kociołek”. Karczma nie była zbyt duża, ale wyglądała przyjaźnie. Nad drzwiami wisiał drewniany szyld z rysunkiem kotła wybuchającego iskierkami. Tyff otworzył drzwi i wkroczył do środka. Bradley wielce się zdumiał, gdy zobaczył, że nie jest to zwykła karczma pełna obwiesiów i przejezdnych. W środku byli bowiem zwyczajni żołnierze, kilku łuczników z Gwardii Królewskiej, a nawet paru czarodziei, którzy również brali udział w przywitaniu Rag’Tasha.

- Więc to jest... – chłopak zaniemówił.

- Coś w rodzaju miejsca odpoczynku dla pracujących – Tyff puścił do niego oko.

W obszernej sali mieściło się kilkanaście okrągłych stołów i dwa podłużne pod ścianami. Większość była zapełniona przez roześmianych i rozgadanych mężczyzn z kufkami piwa. Naprzeciwko wejścia znajdowała się długa lada, za którą stał wąsaty mężczyzna w średnim wieku i młoda, blond włosy kobieta. W sali panował półmrok, tylko na niektórych stołach i na ladzie były świece.

- Cześć Tom! – krzyknął Tyff, idąc w stronę mężczyzny za ladą.

- Tyff, czy mnie oczy nie mylą? – zaśmiał się. – Ostatni raz widziałem cię tu całe wieki temu!

- Przyszedłem nadrobić zaległości. Chciałbym przedstawić ci mojego przyjaciela Bradleya.

- Witaj Bradley, miło że wpadłeś – barman spojrzał na niego spod krzaczastych brwi. – Przyda się tu czasem kilka młodych duszyczek dla odświeżenia atmosfery.

Chłopak się uśmiechnął.

- Miło mi cię poznać, Tom.

- No więc Tyff, Bradley, opowiadajcie, co tam w wielkim świecie.

W trójkę usiedli przy barze i zaczęli wymieniać się informacjami. Tom poczęstował ich kuflem piwa z miodem, co było nowością dla chłopaka. Było słodkie, ale i trochę odurzające. Kiedy jednak je wypił, poczuł się bardziej swobodnie i na luzie. Razem zaczęli sobie wszyscy rozmawiać, żartować i śmiać się. Atmosfera stresu i poczucia winy nagle odpłynęła i Bradley czuł się, jakby to wcale nie wydarzyło.

A może to rzeczywiście się nie wydarzyło, pomyślał Bradley, może to był tylko sen.

Po jakimś czasie przyjaciele w końcu opuścili gospodę. Roześmiani ruszyli szybkim krokiem w stronę głównej ulicy. Gdy na nią wkroczyli, okazała się już bardziej żywa. Została już tam tylko garstka ludzi i uczestnicy powitania. Ruszyli w stronę pałacu, ciągle sobie żartując, kiedy rozległ się potężny huk. Odgłos dobiegał z pałacu. Podnieśli wzrok i spojrzeli w tamtą stronę jak wszyscy dookoła.

Potężne drzwi pałacu stały otwarte na oścież, wypuszczając kłęby dymu. W powietrzu fruwały kawałki szkła ze stłuczonych witraży. Pałac płonął.

### III

- Do pałacu! Szybko! – ktoś wydał komendę, której nikt nie śmiał podważyć. Wszyscy ruszyli w stronę płonącej budowli.

Bradley stał oniemiały i patrzył na dzieło zniszczenia. Jak to możliwe, że najpilniej strzeżone miejsce w mieście nagle stało się ofiarą? Kto mógł zaatakować?

- Ruszaj! – ktoś z biegnącego tłumu popchnął go. Dopiero wtedy się ocknął i również ruszył w tamtą stronę.

Co za ironia, pomyślał, tak bardzo nie chciałem zepsuć tego dnia, a tymczasem i tak się popsuł...

Przyspieszył do szybkiego sprintu. Jeśli naprawdę stało się coś poważnego, będzie potrzeba trochę magii. Ale czy podoła? Nie miał wyboru. Zaczął intensywnie myśleć, jakie zaklęcie wykorzystać, by ugasić ogień. Potrzeba byłoby powietrza i wody. Tego pierwszego jest pod dostatkiem, ale wody nie było nigdzie w pobliżu pałacu. Myśl, myśl! Co jeszcze? A gdyby tak spróbował bezpośrednio zapanować nad ogniem? To będzie bardzo ciężkie, ale nie jest sam. Z pewnością reszta wspomogą go swoją magią. Tak, to może się udać.

Szybko wbiegł po schodach prowadzących do pałacu i zatrzymał się. Języki ognia już objęły drzwi, blokując wejście.

- Zróbcie coś! – krzyknął jeden z dowódców. – Szybko albo król się usmaży!

Teraz, pomyślał Bradley, muszę to zrobić. Uspokoił oddech i zebrał wszystkie siły, które mu zostały. Podniósł ręce i wyciągnął w kierunku pałacu, jakby chciał go objąć. Skupił się na poszerzającym się ogniu i pchnął ku niemu swoją moc. Gdy tylko go dotknęła, zrobiło mu się piekielnie gorąco. Już chciał odpuścić, ale przypomniał sobie, że nie może. Zignorował ciepło i pochwyił ogień. Zdawało mu się, że jest śliski niczym woda, ale w końcu ścisnął go i pociągnął w dół.

- Hej, pomóżcie mu! – krzyknął Tyff, który zobaczył, co robi przyjaciel. – Ugaście ogień!

Bradley zauważył, że ktoś do niego podbiegł. To był Josh. Cały czas, skupiając się na zadaniu, z wysiłkiem obrócił do niego głowę. Uśmiechnął się, widząc, że kolega nie chowa już do niego urazy.

- Znowu chcesz nas zabić? – zaśmiał się blondyn.

Bradley chciał się zaśmiać, jednak wysiłek okazał się zbyt duży. Zobaczył, jak dookoła pałacu zbierają się kolejni magowie chcący pomóc. Już po chwili każdy pochwyił ogień i zaczął go gasić. Od razu poczuł się lepiej. Ogień zaczął powoli opuszczać drzwi i ściany. Nagle stał się taki słaby, już nie chłonał wszystkiego na swojej drodze. Kurczył się i wił, podczas gdy kolejni dołączali do tego procesu. Wkrótce zostało już tylko kilka płomieni na bocznych ścianach. Brama zaś stała otworem.

- Dobra robota chłopcze – jeden z dowódców poklepał go po ramieniu, poczym wbiegł do środka.

Za nim pobiegła reszta generałów, żołnierzy i wszyscy czarodzieje. Wkroczyli do obszernego holu, pełnego najróżniejszych gobelinów i obrazów przedstawiających wielkie bitwy i walczących żołnierzy. Na końcu holu mieściły się kolejne drzwi prowadzące do sali tronowej. Nie zatrzymując się, wszyscy podążyli w ich kierunku. Drzwi były



delikatnie uchylone, więc z łatwością się otworzyły. Jednak wewnątrz nie czekało ich nic dobrego. Gdy wkroczyli do środka, ich oczom ukazał się przerażający widok.

Na kilkustopniowych schodach prowadzących do śnieżnobiałego tronu z marmuru leżał umierający król. Korona stoczyła mu się z głowy i leżała na posadzce. Jego wspaniałe jedwabne szaty były poplamione krwią. Twarz przecięta bruzdami i zmarszczkami wyrażała niekończące się zdziwienie. Oczy błędziły jeszcze chwilę, patrząc w stronę sufitu i odpłynęły, ukazując białka. Nad truchłem króla stała postać w szarym płaszczu z wielkim garbem; w ręku trzymała potężny miecz zanurzony w ciele króla z rzeźbioną rękojeścią przedstawiającą chimere.

- Rag'Tash – przerażenie malowało się na twarzy jednego z generałów. – Coś ty uczynił?!

Postać powoli odwróciła się i odrzuciła płaszcz. To, co wydawało się dotychczas garbem, okazało się potężnymi skrzydłami złożonymi przez ten cały czas. Jego włosy były diabelsko czarne, a z czoła wyrastały mu trzy małe rogi; jeden na czole i dwa nad oczami. Miał półnagi tors przykryty purpurową szatą. Jego wściekle czerwona skóra była pokryta czarnymi runami i dziwnymi znakami. Jego lewe oko wciąż płonęło tym samym ogniem, który Bradley widział wcześniej.

Rag'Tash powoli wyciągnął ostrze z ciała i zaśmiał się upiornie.

- Cóż to, nie poznajecie swojego wojownika? – ochrypli głos rozbrzmiewał w całej sali.

- Ty... – zdawało się, że generał skurczył się. – Nie! Nie wiem czym lub kim u diabła jesteś, ale za morderstwo króla nie pożyjesz długo!

- Puste słowa – Rag'Tash nawet się nie poruszył. – Bardzo chciałbym się wam odwdzięczyć za to, że wystaliście mnie na drugą stronę portalu. To tam poznałem prawdziwą naturę rzeczy. Tornakowie pokazali mi prawdę i dali mi wybór. Dołączyłem do nich. To oni mieli prawdziwą siłę! Pokazali mi jak wykorzystywać magię do własnych celów, pokazali mi jak zwyciężać! Jednak moje ciało okazało się zbyt słabe. Nie wytrzymałoby takiej siły, więc musiałem je zmienić. Poddano mnie próbie, którą przeszedłem. Wyewoluowałem, zmieniłem się. Teraz jestem prawdziwie silny. Rag'Tash, którego przed sobą macie, jest moją prawdziwą wersją, nie tą żalosną, ludzką kreaturą.

- Co oni ci zrobili...

- Oni? Nie, to był tylko i wyłącznie mój wybór – cień bólu przeszedł przez jego twarz. – Tak samo jak teraz ja wam daję wybór. Niech usłyszy mnie całe królestwo! – nagle jego głos zrobił się o wiele głośniejszy. – Każdy z was ma ten wybór! Każdy! Możecie do mnie dołączyć i stać się silni. Możecie razem ze mną podbijać i zwyciężać! Albo możecie też pozostać wierni dawnym zasadom i umrzeć jak nędzne robaki. Wybierzcie mądrze, bo nie będzie drugiej szansy.

- NIE! Nikt się do ciebie nie przyłączy! Ludzie z tego królestwa prędzej zginą, niż stracą honor tak jak ty, wiarołomco!

Znowu rozległ się śmiech.

- Niech i tak będzie.

Na środku sali w posadzce był wbudowany skomplikowany mechanizm, z pomocą którego z podłogi wysuwał się wspaniały klejnot, serce królestwa i pałacu, obsydian. Jednak Rag'Tashowi wystarczyło wyciągnięcie ręki w tamtym kierunku i z pomocą magii wyciągnięcie go. Okrągły piedestał powoli się wysunął, ukazując delikatną, nieoszlifowaną bryłę.

- Może z czasem dostrzeżecie, jak wielki błąd popełniliście.

Po tych słowach zbliżył się do kamienia. Podniósł miecz i nie zważając na krzyki, wbił go głęboko w środek. Rozległ się przeciągły pisk, jakby obsydian zaczął płakać. Lament przeciągał się dopóki Rag'Tash nie wyciągnął miecza. Wtedy klejnot wydał ostatni żałobny ton i rozprysł się na miliony kawałków. Z miejsca, gdzie leżał, wystrzelił w górę potężny czarny promień. Gdy dotarł do sufitu, przebił go i leciał dalej.

- Coś ty uczynił... – emocje wzbierały na czerwonej od gniewu twarzy generała. – Zapłacisz za to! Żołnierze, ślubowaliście chronić swojego króla i służyć królestwu! Teraz ono jest zagrożone. Zabijcie tego demona!

Po tych słowach wyciągnął miecz i z krzykiem na ustach pobiegł w jego stronę. To samo uczynili wszyscy zebrani.

Bradley patrzył na to wszystko, nie posiadając się ze zdumienia. Rag'Tash, wojownik, który miał ocalić królestwo, teraz je niszczy. Rozejrzał się dookoła. Jeden z młodych łuczników wystrzelił strzałę w kierunku demona. Strzała nie miała prawa chybić, tor jej lotu był idealnie wymierzony. Jednak, gdy dosięgła celu, odbiła się od czerwonej skóry i wróciła prosto do swojego pana. Łucznik wydał krótki jęk i upadł na podłogę.

Tyff!

Szybko rozejrzał się i znalazł przyjaciela. Właśnie naciągał cięciwę i wyciągał strzałę z kołczanu. Nie! Wystrzelił w jego stronę. Jeśli on umrze... Nawet nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Tyff musi żyć. On będzie żyć! Z pomocą magii jeszcze przyspieszył. Strzała już szukała celu i wyleciała.

- Nie! – przeraźliwy krzyk wydobył się z gardła chłopaka.

Przeskoczył ostatnie kilka kroków i wpadł w Tyffa, przygniatając go. Spojrzał na przeciwny koniec sali i skupił umysł. Wyobraził sobie, jak znajduje się tam.

Strzała już dosięgła celu.

Wyobraził sobie tam siebie wraz z przyjacielem.

Rozpędzona strzała już wracała.

Bradley już wiedział, że tam jest.

W tym momencie poczuł straszny ucisk w brzuch i zemdlilo go kompletnie. Na chwilę jego umysł zwariował. Jednak w następnej chwili wszystko już się uspokoiło. Otworzył oczy i zobaczył, że są tam, gdzie patrzył, w drugim końcu sali tronowej.

Spojrzał w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stali: strzała właśnie odbiła się od ściany i spadła na posadzkę.

- Co ty wyprawiasz?! – krzyk Tyffa przywrócił go do rzeczywistości.

- Ratuję ci skórę! Gdybyś tam został jeszcze chwilę, zostałbyś ofiarą własnej strzały! Nie poradzicie sobie z nim w starciu twarzą w twarz. Patrz!

Kilkudziesięciu żołnierzy zaciekle atakowało Rag'Tasha. Ten parował ich cięciami, jakby były igraszką, dziecięcą zabawą i przebijał ich ciała niczym liście. Było ich jednak wielu, a on - jeden. Dwóm udało się zająć go od tyłu i dźgnąć skrzydła. Błona w tych miejscach przedarła się, tworząc dziury. Gdy na tą chwilę demon odwrócił się, żołnierze z przodu także go zaatakowali. Rag'Tash zareagował gniewem na te rany. Nie mógł już sparować żadnego uderzenia. Wtedy wznosił ręce ku górze i zdawało się, że trzyma w rękach niewidzialne słupy. Zaczął je z wysiłkiem ku sobie ściągać, napinając wszystkie mięśnie. Wydarł z siebie potworny okrzyk i ścisnął ręce.

W następnej chwili rząd potężnych, zdobionych kolumn podtrzymujących sklepienie runęło w stronę żołnierzy. Ci, przerażeni i zdezorientowani nie zdołali wykonać żadnego ruchu. Potężne fragmenty piaskowca zgniotły wszystko na swojej drodze. Nikt nie ocalał.

Wzniósł się kurz i dym, tworząc zastłonę. Po chwili kilka fragmentów pokruszonych kolumn stoczyło się na boki i wyłoniły się potężne, poszarpane skrzydła. Zaraz po nich ciało ich właściciela – Rag'Tasha. Zdawało się, że nic mu nie dolega.

Przez drzwi do sali tronowej wkroczyły dwie pokraczne istoty, z pewnością Tornakowie.

- Mój panie – pierwszy z nich pokłonił się – inwazja się rozpoczęła.

- Inwazja?! – wymknęło się Bradleyowi, zanim zdążył się zamknąć.

Cała trójka spojrzała w ich stronę.

- Ach, więc kilku ocalało – Rag'Tash uśmiechnął się. – Przynieście mi ich głowy.

Tornakowie obnażyli krzywe miecze i pobiegli w ich stronę.

- Idiota! – Tyff chwycił go za ramię i pociągnął w górę schodów. – Dlaczego zawsze odzywasz się niepytany?!

Pobiegli w górę schodów. Na końcu znajdował się długi korytarz z podobiznami pierwszych królów. Ruszyli nim do końca i skręcili w prawo. Przed sobą mieli potężne drzwi w rozmaite wzory.

- Wchodź, szybko!

Gdy znaleźli się w środku, Tyff oparł się o drzwi, przytrzymując je. Komnata była wielka i bogato urządzona. Z pewnością był to pokój króla. Pod ścianą znajdowało się potężne łoże z baldachimem, pod drugą zaś dębowe biurko i biblioteczka. Naprzeciwko drzwi usytuowany był ogromny balkon. Bradley podbiegł do niego i wyjrzał. To, co ujrzał, wcale go nie uspokoiło.

Całe miasto stało w płomieniach. Wszędzie panował chaos. W powietrzu latały drapieżne chimery, takie same jak na rękojeści Rag'Tasha. Na ulicach piętrzyły się stosy trupów. Roilo się tu od Tornaków, tych samych, którzy byli w sali tronowej. Budynki płonęły i zapadały się. Poza chimerami w powietrzu unosiły się dziwne stworzenia, które swoimi pancernymi ogonami niszczyły wszystko, co napotkały na drodze. Za murami miasta unosił się taki sam mroczny promień, który wytworzył się po zniszczeniu obsydianu. Chmury zebrały się nad pałacem, a słońce całkowicie zniknęło. Nastął zmierzch.

- O bogowie... – Bradley nie mógł uwierzyć w to, co widział.

- Co tam się dzieje, Brad? – Tyff cały czas trzymał drzwi przed napierającymi potworami.

- My... nie mamy gdzie uciekać. To naprawdę jest inwazja.

- Posłuchaj mnie teraz uważnie. Spójrz na zachodnią część pałacu. Widzisz?

- Oczywiście że widzę – zirytował się chłopak. – To mój dom

- Wyjrzyj uważnie za mur. Jest tam woda. Za nami rozciąga się morze, pałac został zbudowany na niegdyś potężnych klifach. Czy zdołałbyś tam doskoczyć?

- Zwariowałeś? To za daleko!

- Użyłbyś magii! Na pewno możesz coś zrobić.

Bradley chwilę pomyślał. Rzeczywiście, jeśli użyłby odpowiednio swoich mocy, mógłby zimitować siłę odrzutu na tyle silną, że doleciałby do wody.

- No dobrze, ale co wtedy z tobą? Nie dam rady wziąć nas obu.

- Ucieknę inną drogą. Ty musisz zrobić to już teraz. Jedź na południe i ostrzeż pozostałych lordów. Królestwo nie może upaść!

- Ale...

Rozległ się huk. Drzwi powoli pękały.

- Nie ma żadnych „ale”! Skacz! TERAZ!

Mimo strachu Brad stanął na poręczy balkonu i wyskoczył. Starał się wybić jak najmocniej, ale niewiele to dało. Leciał w dół. Chciał krzyżeć, ale słowa utknęły mu w gardle. Skupił się na swojej magii. Teraz albo nigdy.

Wypuścił całą skumulowaną moc i unióśł się. Przez chwilę leciał gładko, jednak tracił wysokość. Kiedy przeleciał cały dziedziniec zachodniej części pałacu i przefrunął nad murem, zobaczył wodę. Czuł, że szybko leci, więc skierował cały ciężar swojego ciała w dół. Zobaczył, jak szybko zbliża się woda. Czuł, że mu nie wyjdzie, ale nie było już odwrotu. Zderzył się z wodą.

## IV

Woda była lodowata.

Kiedy uderzył z rozpędem w ciecz i zanurzył się w niej całym ciałem, przeżył prawdziwy szok termiczny. Jego ciało było rozrywane przez tysiące igiełek wbijających się w każde miejsce. Zaczął ruszać rękoma i nogami, by szybko wypłynąć na powierzchnię. Odnosił jednak wrażenie, że jest z ołowiu. Zaczął powoli opadać na dno. Wszystko robiło się coraz ciemniejsze.

*Jedź na południe i ostrzeż pozostałych lordów.*

Tyff. Poświęć się dla mnie, pomyślał Bradley, a ja mam zamiar po prostu umrzeć. Nie, tak nie może być.

*Wykorzystaj magię!*

Głos nie dawał mu spokoju. Wiedział, że od niego nie ucieknie. On był w jego podświadomości.

Chłopak ponownie zebrał w sobie magię i użył do wypłynięcia na powierzchnię. Kiedy już się wynurzył, zaczął łapczywie nabierać powietrza. Chciał krzyżeć, ale głos zamarł mu w gardle. Spojrzał w stronę balkonu; nie było tam nikogo ani Tyffa, ani Tornaków. Został kompletnie sam.

Popłynął w stronę brukowanej zatoczki, z której wypływały niektóre łodzie rybaków. Wdrapał się na nią i położył. Zaczął powoli oddychać, łapiąc czyste powietrze. Jeszcze nigdy tak za nim nie tęsknił, nigdy tak nie doceniał. Po chwili poczuł coś jeszcze: do zapachu powietrza dołączył zapach dymu i swąd spalenizny.

*Jedź na południe.*

- Czy nie mogę mieć nawet chwili spokoju? – jęknął Bradley.

*Ostrzeż pozostałych lordów.*

- Rozumiem, nie musisz powtarzać dwa razy – zdawał sobie sprawę, że mówi sam do siebie, ale nie przeszkadzało mu to.

Powoli wstał na nogi i ruszył wąską uliczką w głąb miasta. Kilka domów po drodze doszczętnie spłonęło, a niektóre nadal się paliły. Z pobliskiego domu usłyszał krzyki pomieszane z płaczem. Starał się nie patrzeć w tamtą stronę. Nie mógł. Miasto, które jeszcze tak niedawno zdawało się tryskać życiem i szczęściem, teraz było tylko płonącymi zgliszczami.

Co teraz, myślał, co teraz mam zrobić?

*Wydostań się z miasta i jedź na południe. Ostrzeż pozostałych lordów.*

Nic nowego, zaśmiał się w duchu. Żeby się wydostać, muszę mieć konia. A konia potrzebuję ze stajni. Więc znajdę stajnię.

Błądził jeszcze przez chwilę uliczkami, gdy w końcu odnalazł znaną mu drogę. Jedno z jej odnóży prowadziło do stajni. Naciągnął kaptur na twarz i szybkim krokiem zmierzył w tamtą stronę. Starał się nie rzucać w oczy, gdyż zauważył parę upiorów. Gdy doszedł do końca ulicy, zobaczył stajnię. Przed drzwiami leżało truchło stajennego. Wyminął je i wkroczył do środka. Kilka koni, które został, zarżały niepewnie. Jeden zaczął wierzgać, kiedy poczuł krew.

- Ty! Wynoś się stąd!

Bradley przestraszony odwrócił się i zauważył w kącie chłopca stajennego dzierzącego widły, młodszego od niego o parę lat.

- Zaraz... ty jesteś magiem! – na moment strach opuścił wieśniaka.

- Ja? Chwila, skąd o tym wiesz?

- Każdy głupi zauważyłby znaki na twoim kaftanie. Tylko wy takie nosicie.

- Moim kaftanie...

No tak, pomyślał, w tym ubraniu od razu mnie rozpoznają.

Szybkim ruchem ściągnął pelerynę i rozpiął naznaczone ubranie. Wyrzucił je prosto na stertę łąna, które leżało niedaleko. W płaszcz zaś zaczął wcierać brud, kurz i ziemię z podłogi. Kiedy upewnił się, że zniknęły wszelkie ślady łączące go z królestwem, zwrócił się do chłopca:

- Muszę wziąć jednego z twoich koni.

- Oczywiście, bierz, ile chcesz – jego twarz przejawiała rozgoryczenie. - I tak nie mam ci jak zabronić, zmiotłbyś mnie z powierzchni ziemi.

- Nie, nigdy bym tego nie zrobił! – Brad zdziwił się. – To okrutne wykorzystywać magię do zadawania bólu.

Podszedł do jednego z koni, barczystego ogiera o kasztanowej maści i wyprowadził z zagrody. Wziął jedno z obtartych siodła i przypasał je zwierzęciu. Potem wsiadł na wierzchowca i wyjechał z zagrody.

- Zaczekaj! – to chłopiec podbiegł do niego. – Proszę, powiedz mi, co mam robić?

Po chwili ciszy Bradley odrzekł:

- Weź najszybszego konia i uciekaj stąd jak najdalej. Nie masz tutaj już czego szukać.

Po tych słowach spiął ostrogi i galopem pognął w stronę głównej bramy. Po drodze widział tyle śmierci, tyle zniszczenia... Dlaczego Rag'Tash to zrobił? Przez niego stracił przyjaciela... nie, kogoś więcej. Bradley traktował Tyffa jak starszego brata, a teraz, kiedy najbardziej go potrzebował, nie było go.

- Nie zostawię tak tego, Tyff – powiedział cicho przez zaciśnięte zęby. – Obiecuję.

Wkrótce dojechał do bramy. Bał się, że przez nią nie przejedzie, jednak nie było najmniejszego problemu. Wyważona leżała na ziemi, przygniatą zmasakrowane ciała wartowników.

Kiedy wyjechał już z miasta, przeszedł w kłus. Jechał jeszcze chwilę przez las, po czym zatrzymał się na wzgórzu. Stąd rozciągał się cały widok na miasto. A raczej to, co z niego zostało. Płonące, zrujnowane domy, obalone wieże, zdruzgotany pałac. To wszystko co zostało.

- Jeszcze tu wrócę – łzy popłynęły po policzkach Bradleya – i wszystko naprawię.



Mówiąc, że wszystko wydarzyło się tego dnia, nie kłamałem.

Stolica, klejnot Eldery upadła. Portale zostały otwarte na stałe. Tornakowie mogą sobie krążyć, gdzie chcą i robić, co chcą, bo nikt nie może ich powstrzymać. Ja mam swój cel.

Kiedy już ostrzegę pozostałych lordów, ruszę na Rag'Tasha. Wszystko to, co się stało, było przez niego. On nie jest już człowiekiem. Jest demonem. Zgładzę go, a gdy stanę na jego zwłokach, on będzie patrzył w moją twarz i będzie widział Tyffa. Niewinnego młodzieńca, który oddał za mnie życie.

Ponadto, w mieście została Edith. Być może przeżyła i skrywa się gdzieś. Tego też mam zamiar się dowiedzieć. Przeszukam całe te przeklęte zgliszcza i znajdę ją. Muszę.

Wkrótce świat, który znam – Eldera – zmieni się nie do poznania. Skoro z taką łatwością Rag'Tash zniszczył jedno miasto, co będzie z resztą. Jak stawić opór nieuniknionemu? Może po prostu wsiądę na pierwszy lepszy statek i popłynę do krajów zachodu. Tak, to kusząca propozycja. Ale zemsta jest jeszcze bardziej pociągająca.

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że użyję magii do ranienia lub zabijania. Teraz wiem, że będzie to konieczne. Jeśli chcę pokonać demona, muszę nauczyć się jego taktyk. Muszę poznać jego magię, nawet jeżeli będzie ona najmroczniejsza na świecie. Oto moje aktualne cele. Ale teraz wyruszam na południe. Dotrzymam obietnicy złożonej Tyffowi. Ostrzegę pozostałe królestwa. To mój obowiązek. Wobec niego. Wobec kraju. Wobec siebie samego.

## Koniec

Autor: Robert Płachta lat 15 (klasa II)  
„Zmierzch Eldery”  
Gimnazjum nr 3 im. Polskich Noblistów  
Os. Czwartaków 1  
62-020 Swarzędz  
Tel. (61) 817-49-50  
Nauczyciel: Aneta Kot